

SPRAWY MŁODYCH

NIE TYLKO

Nr 5

Poznań, 22 grudnia 1982

SPOTKAMY SIĘ W „ORBICIE”

Szanowny Panie Redaktorze: Zwracam się z gorącą prośbą o zamieszczenie załączonego „artykułu” na łamach dziennika „Głos Wielkopolski”. Działamy już od paru lat i często na nasze spotkania przychodził ktoś nowy. Do wiadomości się wtedy, że od dłuższego czasu poszukiwał podobnej organizacji lub ludzi o podobnych zainteresowaniach i całkiem przypadkowo dowiedział się o naszym stowarzyszeniu. Chcielibyśmy przez zamieszczenie informacji o naszej działalności dotrzeć do jak największej liczby osób zainteresowanych fantastyką.

Z poważaniem
GRZEGORZ GAŁUSZKA
Przesłał Poznańskiego Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki

Większość ludzi może wiele mówić na temat poezji, dramatu czy powieści realistycznej, ale za dnia dziedzińska literatury, żaden rodzaj czytelnictwa nie ma swoje go klubu miłośników. Nawet jeżeli kluby takie istnieją są to praktycznie rzecz biorąc kluby „widma”.

Literatura fantastyczno-naukowa i w ogóle twórczość science-fiction

PROSZE O GŁOS

Ma swoje kluby miłośników. Mało tego. Jesienią 1981 roku powstała Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki — i to wszystko dzieje się wbrew temu, że nie chce się jej unać za godny uwagi gatunek literacki, wbrew lekceważeniu krytyków i pewnej grupy ludzi związanych z kulturą.

Są to sprawy znane i mało istotne. Faktem jest masowe zainteresowanie ludzi różnego wieku, wykształcenia i zawodu, własnie tymi zagadnieniami, tą formą, którą reprezentuje fantastyka — fantastyka szeroko rozumiana od naukowej po bajkę.

Jest i w Poznaniu grupa ludzi, którzy ruch miłośników fantastyki tworzyli od podstaw jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych. Wtedy to właśnie po III Kongresie Europejskim Pisarzy S-F (EUROCON III) powołany zostaje Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki i Science Fiction, organizacja, która miała koordynować działania odosobnionych dotąd klubów. W efekcie koordynacja ta była słaba i OKMFISF zostaje rozwiązany. Na jego miejsce powołano Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki.

Poznański klub jeden z pierwszych wstąpił do OKMFISF widząc w tym możliwość rozwinięcia działalności i konsolidacji z resztą rozproszonych „fanów”.

Jedno jak i drugie zostało osiągnięte — poznański klub organizował ogólnopolskie seminaria poświęcone fantastyce, na których spotykał się miłośnicy fantastyki z całej Polski, wystawę wydawnictwa S-F (największą dotychczas w kraju) oraz uruchomił wydawanie pierwszego w Polsce „faunznu” — „KWAZAR”, w którym zamieszczane są próby literackie członków klubu, artykuły krytyczne, teoretyczne, historyczne, prace plastyczne poświęcone fantastyce, tłumaczenia z języków obcych, mające na celu udestynowanie dobrej i bardzo dobrej literatury obcej. Nie zapominając tego w sposób należyty oficyny wydawnicze o ustalonej pozycji — bo trudno mówić o renomie. Tak więc „KWAZAR”, o czym w głowie poznańskich „fanów”, ukazuje się od roku 1980 do dnia dzisiejszego.

Rozwiązanie OKMFISF — nie spowodowało rozwiązania poznańskiego klubu, jak stało się to z wieloma klubami w innych regionach kraju. Klub działał jako niezależny i w październiku br. wstępuje do PSMF, stając się Poznańskim Oddziałem Polskiego Sto-

Dokończenie na str. 2

Dzisiaj kartka CZERWONA

Czy pani wie kim ja jestem?

Natrudniej do prawdy do trzeciej w małym środowisku, gdzie każdy prawie zna każdego. Przeszkadzają skrupuły i obawy. Zwiększa się wtedy rzecz dotyczy kogoś znanego. „Czy mówienie o nim nie zaszkodzi, czy nie będzie z tego nieprzyjemności?”

Murowana Goślina ma ledwie 4500 mieszkańców. Nazwiska dyrektorów prezesów i szefów instytucji wymieniają nawet dzieci. Przed ludźmi mało co się w miasteczku uchroni. Tym bardziej gdy dotyczy kogoś ze „świecznika”.

Dyrektor B. od lat jest za takiego uważany. Od niedawna jednak głośniej mówi się o jego synu Piotrze. Głośniej, ale półgębkiem. Żeby się nie narazić. Dziennikarski notes natychmiast powoduje zastrzeżenie się i różne niedomówienia. Stormurowania nie są już tak zdecydowane, a opinie nie tak szczerze. Niektórzy rozmówcy proszą nawet o spotkanie gdzieś w ustronnym miejscu, by później — już po ukazaniu się artykułu — nie byli kojarzeni z tą sprawą.

A na początku — prawie półtora roku temu — nie nie wskazywało że będzie ona bulwersować środowisko. Były nawet głosy, że wreszcie spory kawał ziemi w Kamińsku zostanie kłuc w oczy zaniechaniem. Jej właściciele w podświadomości nie pozwalali już bowiem solidnie gospodarzyć, więc chętnie ugodził się z Piotrem B.

— Piotr B. kupił ponad 3 hektary deklarując prowadze-

nie specjalistycznej produkcji roślinnej. Ten szczegół wymaga podkreślenia. Na inne bowiem przeznaczenie owego gruntu Urząd Miasta i Gminy w Murowanej Goślinie wyraziłby Skoro jednak Piotr B. planował założenie plantacji borówki — uzyskał nie tylko stosowną zgodę, ale i kredyt bankowy.

Wkrótce wszakże zmienił zamiary. Mało istotne, co o tym zdecydowało. — Fakt

Dziennikarskim obowiem jest być blisko i obserwować, przywilejem i powinnością — ocenić. Będziemy przyznawać nasze zielone, żółte i czerwone kartki tym wszystkim, którzy naszym zdaniem na to zasługują. Dzisiaj — kartka czerwona, dla tych, którzy niczego nie rozumieli. Ani po sierpniu 1980, ani po grudniu 1981.

faktem, że ludzie z okolicy mieli pierwszy powód, by podejrzliwie spoglądać na poczynania nowego „ziemianina”. Tymczasem podjął on starania o dokupienie hektara gruntu z Państwowego Funduszu Ziemi, sąsiadującego z wczesniej nabytym arealem. Decyzja urzędu była pozytywna, bo to był odłóg i szkoda, by nim pozostał. Spodziewano się we wsi szybkiego zagospodarowania tej ziemi. Leż szybko rosły tylko — czy raczej się zmieniały — aspiracje Piotra B.

Chciał teraz nastawić się na dużą hodowlę. Projekt postawienia budynków inwentarskich nie miał wszakże szans urzeczywistnienia, bo Kamińsko, to wioska o charakterze rekreacyjnym, w której niemożliwa była zabudowa gospodarstwa. Wszystkie wnioski o to załatwiano odmownie.

Odmownej decyzji mógł się też spodziewać Piotr B., zwracając się do władz Murowanej Gośliny o podzielenie gospodarstwa rolnika, od którego kupił już wspomnianie ponad 3 hektary. Zamierzał od niego nabyć jeszcze 3 hektarów. I z taką odmową urzędu się spotkał, bo transakcja taka byłaby wbrew przepisom. Otóż dzielenie gospodarstwa dozwolone jest tylko w taki sposób, że pozostała część nie jest większa niż pół hektara. Tymczasem rolnik z Kamińska chciał sobie pozostawić 2 hektary.

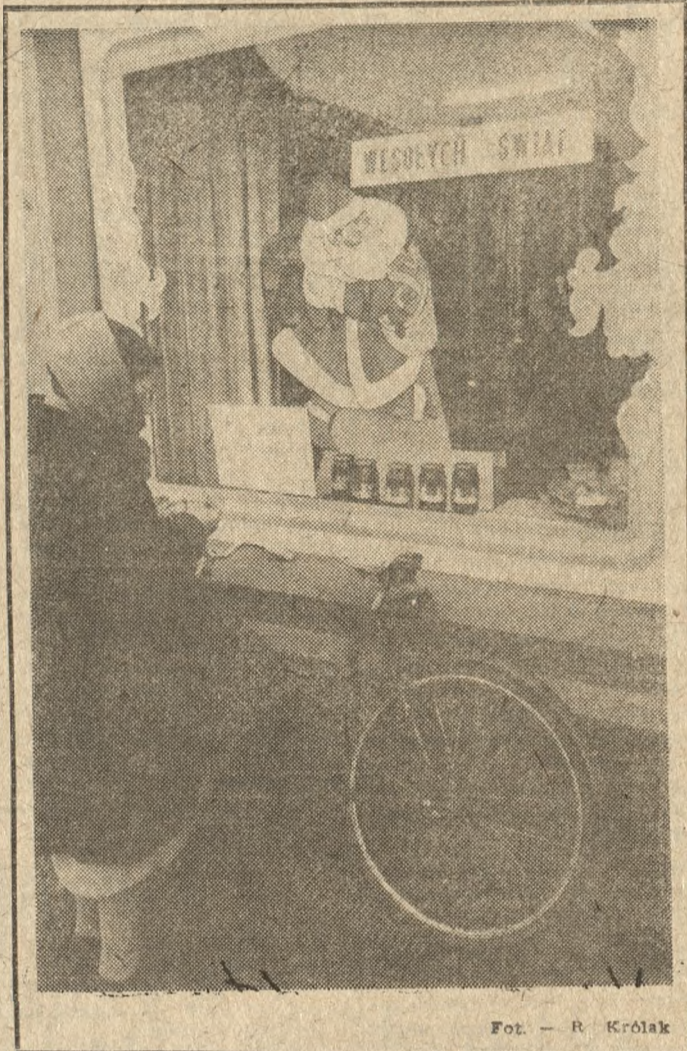
I tu nastąpiły przedwzrosty. Biuro Planowania Przestrzennego w Poznaniu dokonało zmiany w planie zagospodarowania tej miejscowości, umożliwiając tym samym budowanie także obiektów inwentarskich. Decyzję natomiast sprzeciwiającą się niezgodnemu z prawem podziałowi gospodarstwa — uchyliło Wojewódzkie Biuro Geodezji i Terenów Rolnych. Sprawa znów wróciła do u-

Dokończenie na str. 2

PIOTR BOROWIŃCZ

„Nie trzeba meteorologa, by wiedzieć skąd wieje wiatr”

Bob Dylan



Fot. — R. Królak

Granice aktywności wyznacza codzienność

To może banalne, ale zaczęliśmy od podziału karpia na święta. Ustalono, że będzie się go sprzedawać zarówno w zakładach pracy jak i w sklepach. Jeśli uda się kupić ryby od prywatnych hodowców lub od przedsiębiorstw, które będą miały nadwyżki — to wtedy te dodatkowe ilości znajdą się w sprzedaży w sklepach GS-u” — mówi Franciszek Kosicki, przewodniczący Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP, a jednocześnie członek Tymczasowej Rady PRON w Pobiedziskach.

Rada powstała 12 listopada. Ale inicjatywa jej powstania zrodziła się już wcześniej. W październiku zawiązała się 13-osobowa grupa młodych ludzi, którzy ogłosili gotowość działania w PRON-ie. Byli wśród nich rolnicy, nauczycielka, lekarz, urzędnicy, robotnicy — bezpartyjni, partyjni, członkowie ZSMP. Franciszek Kosicki nie potrafi dokładnie określić ich przynależności organizacyjnej, czy partyjnej. Nikt po prostu nie patrzył na legitymacje. Ważniejszy wtedy był sam pomysł i przygotowanie spotkania z mieszkańcami. Odbiło się ono właśnie 12 listopada.

Dokończenie na str. 2

ANNA PLENZLER

Uczniowie lubią narzekać na przeciążenie obowiązkami szkolnymi.

Część, przynajmniej ta, która chce dobrze spełniać to, co się w szkole zadaje, a nie potrafi się we wszystkim połać w lot nauczycielskiego wykładu, płaci za to przemieszczeniem. Takim, którego nie wynagradzają nawet wolne soboty, bo i one dla wielu dzieci wcale wolne od nauki nie są. Tylko szkolni geniusze, ale tych przecież jest mało, albo ci, którym wszystko jedno — mogą sobie pozwolić na jako taki racjonalny odpoczynek w ciągu trwania roku szkolnego.

Zwróćmy uwagę, że chyba przeważająca część uczniów szkół podstawowych i średnich przebywa codziennie po średnio 5-6 godzin w szkole — potem — by rzetelnie sprostać nakładanym obowiązkom — również po kilka godzin spędza przy nauce domowej. Nic tedy dziwnego, że obserwacja takiej rzeczywistości nasunęła pewnemu rodzicowi myśl, którą wyraził w liście do dziennika „Rzeczypospolita”. Wnosze o zmniejszenie wymiaru godzin szkolnych za jeć dla uczniów do poziomu godzin obowiązujących nauczycieli, a więc dwudziestu w tygodniu. Rozumiem, że nauczyciel pracuje także w domu przygotowując się do prowadzenia lekcji, poprawiając za dania, sprawdziany itd., ale przecież uczeń też uczy się w domu, nieraz codziennie nie mniej niż nauczyciel, a przy-

chodził to mu raczej o wiele trudniej”.

Nie zauważyłem, by ktokolwiek z władz oświatowych ustosunkował się do tego listu. Pewnie potraktowano to jako żart. Ale przecież fakty, które przytaczam, wcale nie nastroją do żartów, raczej przeciwnie. I są tym smutniejsza, że tak często przechodzi się mimo oczywistych fak-

NIEPROSTE PYTANIA Zamęczani

tów przeciążania uczniów, a równie często po prostu że organizuje tok roku szkolnego.

Właśnie w tych dniach będziemy świadkami kolejnego eksperymentu na żywym ciele uczniów i ich rodziców. Sprawią to wakacje świąteczne, które w tym roku potrwają dłużej niż w poprzednich kilku latach, bo do 1 stycznia. Ale za to odebrano uczniom dwutygodniowe wakacje zimowe, skracając je do tygodniowej przerwy między pierwszym a drugim półroczem. Jednym zarządzeniem Ministerstwa Oświaty i Wychowania uniemożliwiono uczestniczenie w racjonalnie organizowanym odpoczynku, tak bardzo korzystnym dla młodych organizmów i tak bardzo im po-

trzebny. Bo przecież w ciągu tygodniowych wakacji nikt dobrze nie może wypocząć, choćby ze względu na brak czasu na stosowną aklimatyzację. A do tego dodać trzeba zawsze niebagatelną problem kosztów podróży, teraz — w związku z podwyżką taryf kolejowych i autobusowych — jeszcze wymowniej. Bo przecież udział tych kosztów

w cenie wypoczynku jest proporcjonalnie tym większy, im krótszy może być pobyt. Nie wiem, kogo urządza taki program wakacji w zimie, jakiego przepisanego naszym dzieciom? Może tych, którzy wraz z nimi mają wakacje? Alarm w tej sprawie ogłosił tygodnik „Przyjaciółka”. Po przytoczeniu argumentów przeciwko takiej jak teraz decyzji w sprawie wakacji szkolnych w zimie (nauczycielki, matki, przedstawiciele harcerstwa i lekarki) czasopismo skierowało pod adresem ministra oświaty i wychowania wprost alarmistyczny apel: „Panie Ministrze! Dlaczego uniemożliwił Pan uczniom i nauczycielom wyjazd na zimowy odpoczynek? Dlaczego zdeorganizował Pan kalendarz i in-

nym organizacjom młodzieżowym prowadzenie akcji zimowej”. Do tych argumentów chciałbym ze swej strony dodać i taką radę: po co wymyślać proch, skoro można się uczyć z przykładu innych? Tak się składa, że mogłem nieco poznać sprawy szkolne u naszych zachodnich sąsiadów — w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Tam z wielką wrażliwością przestrzega się zasady, by po paru tygodniach nauki uczeń (tym samym na ogół także nauczyciele) mógł korzystać z przerwy w nauce, bo to jest młodym organizmowi niezbędne — dla zdrowia i po to, by mógł tym lepiej chłonąć wiedzę w toku trwania zajęć.

Otóż rok szkolny w NRD rozpoczyna się tak jak u nas, z początkiem września. Pierwsze wakacje nazywane jesiennymi — tygodniowe — szkoła ma już w połowie października, potem jedenastodniowe z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Ferie zimowe przypadają na luty i trwają aż trzy tygodnie. Później staroza jeszcze czasu na wakacje wiosenne — dziewięć dni w maju. Przerwa letnia trwa niecałe dwa miesiące — po zakończeniu bieżącego roku szkolnego przewidziano jej początek na 7 lipca, a potrwa do końca sierpnia.

Nie po to przytaczam ten przykład, by musiał być godziwiekolewki mechanicznie powielany, zwłaszcza, że

nie ma już w wolnych sobót, chociaż dorosli już od dawna z tego korzystają. Chciałbym tylko pokazać, że można lepiej niż u nas organizować rok szkolny i to ze względu na potrzeby młodych z czego nie zawsze oni sami zdają sobie dobrze sprawę, mimo że nieraz dotkliwie zremeczeniem swym to odczuwają. Ale może, jeśli na zajęciach lekcyjne już mniej czasu poświęcić niż teraz nie można, wakacje letnie wcale nie muszą trwać dwa miesiące? Może wystarczyłoby sześć (tak jest w RFN), albo siedem tygodni? W każdym razie nie powinniśmy — jestem o tym przekonany — od uczniów wymagać pracy, licząc pobyt w szkole i czas na nauce w domu, w większym wymiarze godzinowym niż od dorosłych i w dodatku tak że jak teraz wyznaczać im czas na odpoczynek.

Dlatego przytaczam się do wspomnianego apelu tygodnika „Przyjaciółka”: „Panie Ministrze! Z decyzji pochopnych i nie służących dobrze tym, w których interesie je podjęto, można się zawsze wycofać”.

A swoją drogą — chciałbym lepiej poznać szerszą niż znam opinie o wspomnianych tutaj sprawach, zarówno rodziców, jak i uczniów. To też są sprawy właśnie nie tylko młodych. Zachęcam do napisania do nas.

TADEUSZ KACZMAREK

*) „Przyjaciółka” nr 35, napisał Hanny Gračekowsk.

PROSZE O GŁOS

Dokończenie ze str. 1

warzyństwa Miłośników Fantastyki.

Tradycja pozostaje, pozostają i ludzie, formy działalności, wszystko to co było dotychczas. Pozostają cele i pragnienia, krystalizują się nowe zadania: utworzenie biblioteki S-F w dwóch działach podstawowych — pozycje wydane do 1939 roku i wydane po 1945 roku wpisane na stałe do kalendarza imprez kulturalnych gier i aukcji książek fantastycznych — bo przecież mamy w Poznaniu gładki i wszystkie poza gładką książką — nawiązanie współpracy z prasą krajową i wydawnictwami książkowymi, utworzenie biblioteki klubowej, uruchomienie warsztatów twórczych oraz dyskusyjnego klubu filmowego o profilu S-F.

Są to plany, częściowo już realizowane. Pragniemy wykonać je całkowicie, dzisiaj, kiedy walczymy o szerszy dostęp do kultury, szerszy udział ludzi w tej kulturze. Taka działalność jest przejawem naszego poparcia dla działań państwa na tym polu, działaniem w miarę możliwości, niewielkich przecieków, ale w naszym przekonaniu nie mniej ważnych, niż działania profesjonalne.

Wiemy, że spora liczba miłośników literatury fantastyczno-naukowej (i nie tylko literatury) w naszym mieście chętnie by do nas przystąpiła, tylko nie wie, do kogo się z tym zwrócić.

Zapraszamy więc wszystkich zainteresowanych: w każdy piątek o godz. 17 do „ORBITY” — Klubu Poznanińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Klubu, który od początków istnienia zorganizowanego ruchu w Poznaniu, czynnie sekunduje naszej działalności, bardzo pomagając realizować to wszystko co sobie wyznaczamy. W „ORBITY” spotkacie zawsze kogoś z miłośników fantastyki, znajdziecie tam możliwość pokazania tego, co u siebie, chętnie widzimy u siebie takich członków.

Przyjdzie, bo warto, a my czekamy na Was! „Orbita” mieści się w Poznaniu na Osiedlu Kosmonautów 11b. Tel. 20-12-22.

PIESZCZOSZKII

W kraju potrzebna jest aktywna postawa każdego z nas, a tymczasem nastolatki są bierne. Można śmiało stwierdzić, że większość z nich poza czubkiem własnego nosa nie widzi nic.

Mogłem się o tym przekonać, kiedy przez pięć tygodni przebywałem wśród czwartoklasistów leżącego z liceów. Uczniowie nie orientowali się w realiach naszej codzienności. W dyskusjach lekcyjnych używali wytartych sloganów, podpierając je kawirniańskim zbiorem informacji. Rażąco było szampowe korzystanie z wiadomości podręcznikowych, które i tak były przyswajane automatycznie. Sprawiano to wrażenie kompletnej obojętności na jakiegokolwiek przejaw życia. Niewielu spośród uczniów potrafiło choćby krótko o mówić wydarzenia minionego dnia. Czyżby zatem nie interesowało ich społeczeństwo, w którym żyją?

Obecnie wielu z byłych licealistów już studiuje. Teoretycznie więc u nich przysiała młoda polska inteligencja, która niebawem zacznie przemawiać „ster”. Skąd więc wziął się ten bezruch i wyczekująca postawa?

Dzisiejsze dwudziestolatkę wychowywane były w okresie bardzo ułatwionego dostępu do dóbr materialnych. Rodzice podsuwali im wszystko gotowe usprawiedliwiając się powiedzeniem: „Po to tyrałeś mi tyle lat, aby nasze dzieci miały lepiej”.

Niewątpliwie słuszne to stwierdzenie. Tylko właśnie w latach siedemdziesiątych rozpieszczeni przez ówczesne warunki społeczno-polityczne pozostawiliśmy samym sobie przynajmniej kilka roczników młodzieży. Dało to w końcu znać o sobie po sierpniu 1980 roku. Niefundowane postawy były wynikiem braków wychowawczych w minionych latach okresu w którym kształtowały się młode postawy, okresu kiedy nie mieliśmy czasu na właściwe wprowadzenie w życie naszych następców. (2324)

ANDRZEJ WRÓBLEWICZ
Poznań

Poglądy i opinie prezentowane w rubryce „Proszę o głos” nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji. Listy prosimy kierować na adres: „Głos Wielkopolski” z dopiskiem na kopercie: „Sprawy nie tylko młodych”.

Gdy mi się czasem rąka na klawiaturze radio omsknie słyszę gawędę po polsku, choć nie zawsze emitowana jest ona z Warszawy. Często, nader często, słyszę tam, że Polska jest krajem niepraworządnym, że gości u nas bezprawie. Ponieważ wiem swoje, gadaninę tą się nie przejmuję, ale czasami też słyszę to samo od ludzi, którzy mają do mnie tyle zaufania, że nie muszą się krepuwać. Dawniej, gdy słyszałem takie wisty nie ukrywałem zniecierpliwienia. Teraz, po niedługim wszakże dziennikarskim „terminowaniu” w sądach, prokuraturach i komendach nie żyjęm się już z takim przekonaniem. Już z takim przekonaniem. Już z takim przekonaniem. Już z takim przekonaniem.

Jeden facio jechał do Bułgarii przez Związek Radziecki. Nie było to udana podróż. Radzieccy celnicy odebrali mu 119 metrów przemycanych tkanin, zarekwirowali — zgodnie z tamtejszymi przepisami — „Polonez”; w Polsce odpowiadał za przestępstwo karno-skarbowe, a ponadto musiał zapłacić 245 000 złotych za odprawione warunkowo auto. Inny człowiek, który zbyt pospiesznie złożył swój podpis na jakimś dokumencie, dostał w poznańskim Sądzie Wojewódzkim półtora roku pozbawienia

Nie po oczach

Bezprawie

wolności, z zawieszeniem kary; zapłacił też koszty postępowania sądowego oraz grzywnę.

Z kolei ktoś, kogo tryb życia przyprawia sąsiadów o wrzody żołądka — obraca setkami tysięcy złotych miesięcznie i uśmiecha się z politowaniem. On bowiem zna prawo i to z maestrią. Jeszcze inny, którego wielu i radością widziatoby na suchej galezi — wyjmując z kieszeni rozporządzenie zwierzchnika pokazuje sędziemu, wychodząc wolny, nic mu zrobić nie można. Działalność bowiem zgodnie z prawem.

Prawo w Polsce jest czymś, co coraz częściej pobudza histeryczne pienia, a wszystko, albo niemal wszystko bierze się stąd, że nie tylko kultura, ale i wiedza prawna społeczeństwa jest karygodnie żenująca. Jedynych czyni bezsilnymi, innym ułatwia działania, które nie są niczym innym jak siłą. Na tych łamach, nie tak dawno, zamieści-

liśmy maksymę „Po to zostały dane prawa, by silniejszy nie mógł wszystkiego”. Ale slogan jest tylko sloganem.

Prawnicy przede wszystkim, ale też wielu ludzi, którzy z prawem na co dzień niewiele mają wspólnego, coraz głośnie mówią, iż niewiedza prawnicza najbardziej upośledziła młodzież. Ona to, zanim w praktyce dowie się co wolno, a czego nie — bardzo często mimowolnie postępuje niepraworządnie, przechodząc polem kurs przyspieszonej edukacji w komisariatach pokojach prokuratorskich, salach kolegiów lub sądów.

Okres posierpniowy — w którym to „wszystko było dozwolone” i okres „pogrudniowy” gdy „nic nie było wolno” uzmysłowiły w sposób nie budzący żadnych wątpliwości, iż z praworządnością każdego niemal z nas daleko nie ujedziemy. Prawem bowiem nie można straszyć, prawem nie trzeba manipulować. Prawo, a nade wszystko jego istota — trzeba znać. Jeżeli więc chcemy być społeczeństwem praworządnym, a deklarujemy to przy każdej sposobności, nie nie uchroni szkół od wprowadzenia zajęć z przedmiotu, który na nasz, czytelniczy użytek określimy „przedmiotem prawa” Ogól-

ANDRZEJ SKRZYPCZAK

P.S. Korzystając z uprawnień, które daje nam Kodeks Postępowania Administracyjnego zwracam się do kuratorów oświaty i wychowania w Kaliszu, Komornie, Lesznie, Pile i Poznaniu o konkretną odpowiedź na pytanie: „Co uczynią władze oświatowe, by przybliżyć prawo swym uczniom?” Gdyby komuś chciało się pytanie to zignorować, przypomnę, że nieśmiało, iż zaniechanie działania bywa niekiedy również czynem bezprawnym.

Granice aktywności wyznaczają codzienność

Dokończenie ze str. 1

W dyskusji padały różne głosy, a wśród nich najczęściej przewijający się — powołał Tymczasowa Radę PRON i zagwarantować jej autentyczność działania. Do Rady wybrano 15 osób. Wszystkie zgłoszone bezpośrednio z sali Polowa spośród nich to ludzie w wieku od 19 do 30 lat. Pełni pomysłów i zapasów do pracy.

Pierwszym tematem którym miał się zająć PRON w Pobjedziskach było budownictwo. Ale tu samo życie narzucało korekty. Okres przedświąteczny więc na porządku dnia stała się sprawa handlu i zapobiegania hidności. Dlatego zainteresowano się problemami sprzedaży karmel, wedlin — nie tylko na święta, ale także na on dzień, kłopotami pobjedziskiej masarni itp. W myśli przy-

słowa, że „najbliższa kosczulacja” uznano, że należy zająć się tym, co ludzi najbardziej interesuje. Nie znaczy to, że zapomniano o innych dokumentach życia, takich jak na przykład budownictwo. Trzeba to jednak zrobić spokojnie; zaprosić na spotkanie pracowników z Urzędu Miasta i Gminy oraz Urzędu Wojewódzkiego, przedstawicieli Spółdzielni Mieszkaniowej i określić wreszcie, kto ponosi odpowiedzialność za obecny stan. A o ustaleniach poinformować mieszkańców Pobjedzisk.

Kolejna sprawa do załatwienia to kultura. I tu najwięcej do powiedzenia i działania mają młodzi. To oni dają do adaptowania starych pomieszczeń na świetlice lub budowy nowych na terenie zmin jest obecnie mniej świetlic niż by-

ło ich w latach sześćdziesiątych, do zagospodarowania boisk, które zamiast młodzieży służą na przykład jako składowisko węgla. We Wronozynie Mirosław Olejniczak zebrał już grupę osób, która chce zająć się budową świetlicy, w Główniej — tuż koło Pobjedzisk — jest ogromna pusta sala, która można by przerobić na świetlicę, klub lub centrum młodzieżowe. Tu nie o nazwę chodzi, ale o to, żeby młodzi ludzie mogli gdzieś się spotykać, poczytać czasopisma, wypić herbatę zorganizować jakąś imprezę.

Tak więc handel, budownictwo, kultura to trzy główne tematy, którymi zajęła się Tymczasowa Rada PRON. Kolejne znów poddowie samo życie.

ANNA PLENZLER

Czy pani wie kim ja jestem?

Dokończenie ze str. 1

zędu w Murowanej Goślinie i została załatwiona tak, jak chciał Piotr B.

W Kamińsku zawrzało. Na zebraniu wiejskim wypowiedziano sporo gorzkich słów: — Co to za odnowa, skoro rozpycha się kokkami gdzieś tylko się da i wszystko mu wolno? Ja już wiele razy naciąłem sobie coś w zagrodzie postawić, ale zawsze się szalałem, że nie można, że nie trzeba aż decyzji województwa. Teraz załatwiono rzecz od ręki, tylko jeden wniosek wystarczy.

— Jak to jest z równością prawa dla wszystkich? Myślałem, że już nie czyni się żadnych wyjątków. A tu urzad najpierw na coś nie zerwała,

uzasadniając to niezgodnością z przepisami, by w końcu decyzję zmienić. Widać nie wiadomo tu na miejscu, że wpływ pana B. sięgają aż tak wysoko. Ciekawe czy jakby chciał w ten sposób podzielić gospodarstwo jakiś zwykły śmiertelnik, też by tak w jego obronie stawało wojewódzkie biuro?

— Słyszałem, że bank przydzielił B. kredyt na rekultywację gruntu. I dobrze, bo ziemia tu kiepska. Tylko że kiepska jest u nas wszystkich, a my się daremnie dopominaliśmy o pomoc przy rekultywacji. Cóż, miał chłop wyjątkowe szczęście.

Tymczasem Piotr B. dołał oliwy do ognia. Jakby chciał utwierdzić środowisko, w przekonaniu o swojej wyjątkowej pozycji. Któregoś dnia załatwił formalności w Urzędzie Miasta i Gminy. Jeden z dokumentów przedstawionych do zatwierdzenia nie odpowiadał wymogom. Urzędniczka nie chciała więc go podpisać. Usłyszała wówczas?

— Panj mi odmawia? A pani wie, kim ja jestem?

— Wiem i co z tego?

I podpisu nie złożyła. Naczelnik Miasta i Gminy stanął w jej obronie, ale oboje musieli odbyć z petentem rozmowę skłaniającą do przykrej refleksji. O tym, iż niektórzy ludzie nie rozumieją niczego ani po Sierpniu, ani po Grudniu. Ze nadal uważają, iż można wszystko załatwiać z pozycji układow. Ze próbują obchodzić przepisy, byle dopiąć swego.

Final tej sprawy jest wszakże zaskakujący. Kiedy Piotr B. miał już zgodę na powiększenie gospodarstwa — rozmyślił się. Wystąpił natomiast o zezwolenie na... prowadzenie działalności rzemieślniczej. I takowe ostatnio uzyskał — bezdziej w Kamińsku wytwarzał listwy i klepki parkietowe.

Można powiedzieć, że wszystkich wystrychnął na dudków. Przecież jedno jest pewne: gdyby od początku władze mo było, że zajmie się rzemiosłem — nie otrzymałby zgody na kupno ziemi. Dlatego zatem otrzymał zezwolenie na prowadzenie warsztatu? Ano, po pierwsze — ziemię już ma, po drugie — można w Kamińsku stawiać różne obiekty po zmianie planu zagospodarowania wsi, a po trzecie — w urzędzie w Murowanej Goślinie wszyscy mają już serdecznie dosyć tej sprawy i skwapliwie skorzystano z okazji, by ją zamknąć. Nawet, jeśli w opinii środowiska — jest to rozwiązanie irytujące.

I jeszcze coś. Co miał Piotr B. na myśli, pytając urzędniczkę „Czy pani wie, kim ja jestem” — przesadzać nie można. W każdym razie był wówczas nie tylko synem dyrektora liczącego się zakładu, ale i etatowym sekretarzem komisji w Wydziale Młodzieży Wiejskiej Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Poznaniu. Od początku sierpnia jest już „na swoim” krzątając się wokół warsztatu.

PIOTR BOROWICZ

Kto mówi, że nie ma powodów do radości



Fot. „Głos” — R. Królak

POGLĄDY I OBSERWACJE

„Młodzież interesuje się historią jak nigdy dotąd i jak nigdy ujawnia się jej niewiedza, bo niby skąd ma tę wiedzę mieć?”

Henryk Janas
dyrektor Zespołu Szkół Łączności w Poznaniu
„Filipinka” nr 15

„Trudno byłoby mi uwierzyć, że młodzież nie odkryje jej perspektyw, o które trzeba i można walczyć”.

prof. Czesław Bobrowski
„Rzeczpospolita” nr 283

„Nie potrzeba nam w związku kontestatorów, ale działaczy z prawdziwego zdarzenia, którzy nie będą ograniczać się do pouczenia i krytykowania”.

Jerzy Jaskiernia
przewodniczący ZG ZSMP
„Gazeta Młodych” nr 56

„Nawet w krajach wysoko rozwiniętych młodzi nie widzą perspektyw, a boją się wojny, wyczerpania surowców, zniszczenia środowiska, konfliktów wewnętrznych, terrorizmu, fanatyzmu”.

prof. Bogdan Suchodolski
„Zycie Warszawy” nr 275

„Trzeba wierzyć w swoją owiązadę i nie załamywać się byle czym (...). Nie pomniejszać porażek i nie wyolbrzymiać sukcesów”.

Maryla Rodowicz
„Razem” nr 34

„Najważniejszą sprawą nie są spory, ale przywiązanie do organizacji więcej młodzieży”.

Jerzy Mazurek
„Sztandar Młodych” nr 215



Fot. „Głos” — R. Królak

Sztafeta pokoleń?

Zagadane mrówki

Na dźwięk słowa „zebranie” na ogół się poceją i potem kaszlą, co wynika nie tyle z cherlawego organizmu, lecz z nadmiernej liczby przegadanych posiedzeń. Z prawdziwą niechęcią przyjmam więc zaproszenie na zebranie pewnej grupy młodzieży, która zamierzała podsumować swą dotychczasową działalność i wytyczyć plany na najbliższą przyszłość. Ludziłem się jednak, że są to przecież ludzie młodzi, awangardowi w sposobie życia i ubierania a zatem przelamią zapewne smutne schematy i pogadają po ludzku. A jak było — opowiem.

Zaczeli z półgodzinnym opóźnieniem, czyli normalnie jak u dorosłych wodolejców. Następnie całkiem sympatyczny chłopak rąbnął bardzo niesympatycznie

przemówienie. A rola się tam od banałów i sloganów, które wygłaszał z miną odkrywcy nieznanych łądów. Miałem ochotę z nudów wyłącznie uszczytnąć w pośladek siedzącą koło mnie blondynkę, ale nie chciałem jej budzić. Moją uwagę zakłócił dopiero w pewnej chwili sąsiad siedzący z drugiej strony zapytawszy, czy nie znam przypadkiem glonu morskiego, na osiem liter. Niestety nie znalazłem.

Następnie odbyła się dyskusja nad referatem w której podnoszono i twierdzono podkreślano z całym naciskiem i omawiano a generalnie rzecz biorąc smutnie się nawzajem zanudzano. Ktoś powiedział wreszcie, że 5234 osobogodzinny wystarczą na uzyskanie kwoty, która zaspokoi potrzeby obozu.

— Jakiego obozu? — zapytał ktoś z tylnych rzędów.

— Zimowego oczywiście — uzyskał odpowiedź i tu dopiero zaczął się konkretyzować problem.

Całe to wielkie zebranie, jak się okazało, dotyczyło wydzignięcia wniosków ze zorganizowanego w lecie obozu szkoleniowo-wypoczynkowego, natomiast plany na najbliższą przyszłość — to było przygotowanie obozu w zimie. Nad tym właśnie zagadaniem obradowano już przeszło dwie godziny i dopiero teraz wyszło sztydo z worka.

Przejaskrawilem celowo opis tego posiedzenia, aby napisać o sprawie, która jakże często paraliżuje poczynania młodych ludzi. Na zebraniach uwielbiają oni sztuczna powagę i chcą powielać zle wzory przyjęte przez różnych admi-

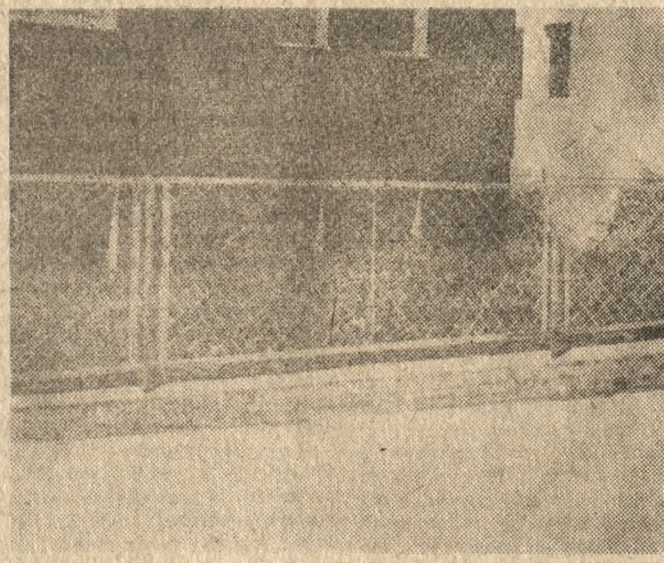
nistracyjnych niedorajdów. Zielony stół przysiadłszy, referaty i inne wroczyste momenty mają uzasadnienie w nielicznych przypadkach, gdy rzeczywiście niezbędna jest atmosfera wielkiej gali.

Młodzież ma inny styl bycia, zgody z jej wiekiem i jego przywilejami, którego świątliwość, elastyczność i werwa to podstawa spełnienia wszelkich zamierzeń. Urządzenie napuszonych posiedzeń bywa często markowaniem pracy i w tym tkwi największe niebezpieczeństwo. Nie chodzi już nawet o to, że nie załatwi się jednej lub kilku spraw. Groźniejsze jest wyrobienie nawyku gadulstwa i wodolejstwa, rozliczania się liczbą odbytych zebrań, pozorowania zabieganych mrówek. Mróweczki te jednak nie zbudują nigdy tym sposobem własnego kopca.

MIROSLAW ONOSZKO

Autor jest członkiem Klubu Dziennikarzy Młodzieżowych.

MŁODA PLASTYKI



„Dlaczego?” — odkrył na płótnie.

Fot. — Archiwum

Jan Wojciech Malik urodził się w roku 1951 w Poznaniu. Dyplom Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych także w Poznaniu uzyskał w roku 1975 w pracowni malarstwa prof. Stanisława Teisseyre'a. Wystawia w kraju i za granicą. Jest m. in. laureatem ogólnopolskiego konkursu malarskiego im. Jana Sychalskiego.

Malarstwo Jana Wojciecha Malika należy do polskiej odmiany hiperrealizmu. Programowo antypsychologiczne zatrzymuje wzrok w kadryse fotograficznym fragmencie zwykłej, banalnej rzeczywistości, by podkreślić jej obcość, nieprzenikliwość. (bran)

Wczoraj — dzisiaj — jutro

Gra w kostkę

Do telewizora, od kiedy zepsuł mi się podczas „Mundialu” zaufania nie mam. Radio również zawiodło mnie parę razy w chwilach gdy bardzo na nie liczyłem. Natomiast gazety — przeważnie kupię nie tę, którą chciałbym i w dodatku piszą nie to, czego oczekuję. Stowem, wierzyć nie za bardzo jest komu. Ludziom na ulicy? Na każdym rogu co innego gadają i tylko patrz jak by łatwowiernego naciągnąć i wykorzystać. Nie ze mną te numery. Ja mam swój własny punkt odniesienia. Najbardziej miarodajnym wskaźnikiem stabilizacji i normalizacji sytuacji jest dla mnie stół. Zwykły, kuchenny, nie żaden okrągły, czy rokokowy.

Wszelkie zmiany na lepsze (o nich głośno w telewizji) lub na gorsze (szemrane w autobusie) są na jego płaszczyźnie błędnie weryfikowane. Po wyglądzie półmisek można bez trudu rozpoznać co i ile nam na polach i w oborach urosło oraz kto ile nam towarów podsyła, a w jakich regionach restrykcje — i nawet figi stamtąd nie uświadczymy. Ostatnio na kartkach pojawił się dodatkowy przydział tłuszczu. Wkrótce zgrabną kostkę margaryny ujrzałem na własnym stole. Patrzyło się na nią o wiele przyjemniej niż na Jana Serce, który raz po raz wychodził z kanału. Sam chyba nie wiedząc po co.

Pewien felietonista dawno do gdzieś na początku kryzysu, gdy trwały jeszcze spory czy to w ogóle jest kryzys oraz co okazać się lepsze — wprowadzenie kartek bądź raczej windowanie cen (w końcu nastąpiło i jedno i drugie) rozwoził się nad możliwościami jakie daje jedna niepozorna kostka masła. Dobrym aktorem oczywiście. Miał bowiem na myśli to co wyczyniali z tym prozaicznym artykułem Maria Schneider i Marlon Brando w głosnym — z różnych względów — filmie „Ostatnie tango w Paryżu”. Igraszki z deficytowym towarem oglądał sobie ów felietonista w kinie przy jakiejś Rue de...

„To się napatrzyli!” — powie zaraz niejeden, mając na myśli oczywiście wieżę Eiffla, Montparnasse i zabytki, bez których Paryż nie byłby Paryżem. Teraz takie eskapady to marzenie. Na pobyt dla rodziny w domu FWP „Jutrzenka” trudno uciąć, a skąd na taką podróż? Już latwiej wykupić bilet lotniczy na trasie Katowice lub Wrocław — Warszawa i liczyć że coś się zdarzy. Rezultat jednak nie jest pewny. Nie co dzień rejs kończy się na Tempelhof. A na miesięczny abonament mało kogo stać. Dlatego precyzyjny podak woli usiąść w fotelu, włączyć telewizor i narzekać ile wlezie.

Również ja Paryż mogłem obejrzeć... na rycinach, a ostatnie tango zatańczyć w wieczorku zorganizowanym przez koło ZSMP. Z pewną aktywistką gotową poświęcić się dla idei. Od razu. Natomiast kostka margaryny, w pełni namacalna, spokojnie leży na stole.

A na deser jeszcze cytrusy (jeśli, oczywiście, ktoś w odpowiednim czasie zdecydował się na potomstwo). Toż to prawie tak jak dawniej — przed kryzysem — bywało! Tylko patrzeć a znów pojawiają się „Coca-cola” i automatyczne zmywarki naczyń.

„Tyle tematów zasadniczych leży odlego, a ten uparł się na kostkę margaryny. I to jak się zapędził, dobrobyt mu się marzy” — oburzy się część czytelników. Może on nadchodził, ale w butach i spodniach, które trzeba donosić.

Wracam więc z rajskiej dziedziny ubuły do tego co na kuchennym stole. Po maselku ani śladu, tylko na twarzach współbiesiadników błogi uśmiech. Dla mnie na pociechę pozostała kostka. Rubika. Ładna, kolorowa, tylko bardzo trudna do ułożenia. Różnobarwnych kwadracików co niemiara. Jak zaprowadzić w tym ład i porządek? Specjalistom potrzeba na to kilkadziesiąt sekund. Ale oni mają metodę. Widziałem nawet brzdąców, którzy korzystając ze „ściągi” zamieszczonych w prasie (zapewne zyska na tym jej wiarygodność) czynili to w parę chwil. Kilka wprawnych ruchów dłoni — raz płaszczyzna zgodnie z ruchem wskazówek zegara, raz przeciwnie i kolory układają się prawidłowo.

Od godziny obracam kostkę. Zdaje się jakby coś już wychodziło.

Możliwości są duże, trzeba tylko cierpliwości i metody.

WALERIAN IGNASIAK

Mimo najszerszych chęci, miejsca w domu studenckim w roku aka demickim 1982-83 dla mnie za brakło. Po raz pierwszy chyba świadomości zamożności moich rodziców ubodła mnie z taką mocą. Zaraz też chciałem na to konto zjeść obiad w „Mercurium” jednak po dotarciu tam w porę zorientowałem się, że zakład produkujący menu w brudce — cena, pomieszczał wartości kaloryczne dań.

Postanowiłem więc poczekać do momentu naprawienia pomyłki, a tymczasem swym sprężeniem podzieliłem się z kelnerem, który ni stąd ni zowąd wyzwał mnie od „biednych studenckich brudasów”, na co zabrałem mi argumentów. Postanowiłem więc poszukać kwatery, albowiem tylko spokojne locum „dwa razy dwa” wydawało się być niezbędne w mojej przyszłej edukacji. Przy ul. Fredry 7 w Biurze Kwater Studenckich znalazłem kolejnego szoku. Tym razem zamożność moich starych nie pozwalała mi na wynajem kwatery. Liczyłem pilnie kolejne zera poja-

KWATERA ZA MYŚLIWSKĄ

wiające się po cyfrach: jeden, dwa, a nawet trzy, upewniając się przy tym u pewnej uprzejmej pani, że rzeczywiście o kwatery tu chodzi. Wybrałem na końcu skromny pokójek za jedyne 2.500 zł 4 metry kwadratowe), bez co, toalety co prawda w wychodku, ale zawsze warunki higieniczne, jak na studenta, w miarę znośne. — „Nie się nie martw pocieszał mnie kolega, walet już od roku — ciepła woda niepotrzebna. Zapiszesz się na pływanie i wszystko będzie OK.”

Pełen nadziei udałem się tam, ale zwolenników komfortu (a może zwolenników kąpieli w basenie było znacznie więcej). Właściciel poinformował mnie, że jestem piątym, który tu zawitał po czym grzecz gume do buta „Bolek i Lolek” uśmiechnął się pełną gębą rad, że jego klatka ma takie powodzenie.

Chcąc nie chcąc musiałem wrócić do punktu wyjścia tj.

na ul. Fredry 7 i przejrzeć co nowsze propozycje. Rzeczywiście, były takowe. Mogłem nawet wybierać między ceną 2.500 zł za 4 metrami kwadratowymi z łazienką, a 6 bez łazienki i kuchni za 1700 złotych. Wybrałem to drugie ale gdy dotarłem na miejsce facet wywalił na mnie łapczywie ślepią, obejrzał mnie od stóp do głów po czym wyraził zgodę na 3.000 złotych miesięcznie. Odpowiadam na to, że w biurze kwater studenckich pisze 1700 zł. Tyle jestem skłonny zapłacić i kwita. Gość popatrzył raz jeszcze na moje skórzane buty (prezent od mamy na „okoliczność matury), po czym twardo oznajmił, że bez trzech „koperników” za miesiąc nie mam się co pokazywać.

Doprowadzony do szewskiej pasji zrzuciłem skórzane buty, zwałem murarzu robocza kurtkę, wciągnąłem rozdeptane sandały oraz wytarte spodnie.

Na Fredry 7 w klatce pt „Męskie jedynki”, pod ceną z dwoma zerami, tym razem przeczytałem koncert życzeń: że student winien być nie pałacy, nie pijący z Akademii Medycznej lub z gospodarstwa. Ze stoickim spokojem, obojętny na wszystkie dziwactwa tego świata, udałem się pod wskazany adres, przedstawiłem swe personalia, następnie wygłosiłem krótki wykład o szkodliwości palenia tytoniu i o zgnubnych wpływach wódki na organizm. A gdy utwierdziłem życzliwego najemcę, że spełniłem dwa wymogi, położyłem na stole ostatni poleć boczku, obalając resztki wąpłiwości co do mojego chłopskiego pochodzenia. Mogłem wejść wreszcie jak do chatki Baby Jagi, z tą różnicą, że zamiast — jak w bajce — cieniokiego paluszka, co mi się muszę pokazywać myśliwską. No, ale w końcu cóż to znaczy, jeśli się jest „bogactym z domu”...

MARIUSZ KOLONKO

Autor jest członkiem Klubu Dziennikarzy Studenckich.

Pieniądz robi pieniądz”, ale nie sam

ABBA — kuplety o sukcesie

Jak pisze zachodniemiecki miesięcznik „Capital” przykład szwedzkiego zespołu muzycznego „ABBA” dowodzi, że mylnie jest obiegowe przekonanie, jakoby w branży rozrywkowej pieniądze szybko zarabiano, ale na ogół równie szybko tracono. Światowej sławy zespół „pop” ze Szwecji pokazał, że muzycy potrafią także znakomicie gospodarować pieniędzmi.

„Pokazaliśmy międzynarodowej branży muzycznej, że dobra muzyka może pochodzić z każdego kraju, również ze Szwecji” — stwierdza Stig Anderson ze skandynawska powściągliwością. Jednak, chociaż świat może nawet w dużej mierze utożsamiać olczyżną Andersona z muzyką rozrywkową na wysokim poziomie, to od dawna już nie utożsamia się Szwecji z innym pojęciem: wielkich interesów. Tymczasem coś takiego właśnie stworzył Stig Anderson, a firma nazywa się „ABBA” od pierwszych liter imion swoich członków: Annafried Lyngstad Benny Anderson, Bjorn Ulvæus i Agnetha Faeltskog. Popularnymi melodiami i aranżacją w stylu „pop” grupa wspaniewała sobie i wygrała solidny koncern. Na kapital założywszy się docho- dy z przeszło 150 mln płyt długogrających sprzedanych na całym świecie. Łączne obroty: pięć miliardów koron szwedzkich, tzn w przeliczeniu dwa miliardy marek (zachodniemieckich).

„ABBIE” związanej swoją muzyką z falą „pop”, nie wystarczyło, że te liczby ulokowały ją w siedmiu legendarnych Beatlesów. Przy pomocy Stiga Andersona zespół zbudował koncern przemysłowy,

wy, który tylko pod jednym względem różni się od większości wielkich przedsiębiorstw szwedzkich — pod względem zysków.

Fachowcy uważają tę firmę za przynoszącą w ogóle największe zyski w kraju. W ocenie szwedzkiego pisma gospodarczego „Dagens Industri”, jest to „czynnik, z którym musi się liczyć szwedzka gospodarka”.

Sukcesy koncernu „ABBA” są godne uwagi z trzech powodów: został on stworzony — w kraju, który ze względu na ogromną stowę podatkową (do 85 procent) nie cieszy się opinią szczególnie udatwiającego gromadzenie dochodów i majątku; w branży, której gwiazdy zwykle tracą pieniądze równie szybko, jak zarabiają; przez człowieka, który wcześniej nie miał żadnej wiedzy ekonomicznej.

Kariera Stiga — zwanego „Stikkan” — Andersona to kariera jak z książki o obrazkach. Ten były nauczyciel matematyki przed 20 laty zaczął pisać biosenki (w sumie do tej pory 2.000) i w 1972 r. założył zespół Czwórka piosenkarzy i muzyków była wówczas niemal nieznaną.

Z tym zespołem Anderson wystąpił w 1974 r. w festiwalu przebojów Eurovizji w Brighton w Anglii, i za pierwszym zamachem zdobył pierwsze miejsce, z „Waterloo”. Od tej pory nie było roku, żeby na całym świecie wymyślonymi środkami nie lansowano nowej płyty „ABBY”. Zespół jak gdyby miał abonament na to zawsze ladałowa na najwyższych pozycjach listy przebojów.

Zgodnie ze swym wyznaczeniem wizer — „w Szwecji

można robić pieniądze równie dobrze jak gdzie indziej” — Anderson i „ABBA” nie uciekała przed władzami podatkowymi za granicę, lecz inwestowała w kraju — tak aby podatki wypadały korzystnie. Jak bowiem mówi Anderson, „Tu oszczędzamy się dobrze, tu chcemy zostać”.

Wprowadzić nie obyło się bez niepowodzeń finansowych, tak np. mówi się, że w transakcjach na rotterdamkiej giełdzie ropy naftowej „ABBA” straciła około czterech mln dolarów; musiła także sprzedać przynoszące straty udziały w handlu dziełami sztuki i w branży artykułów sportowych — ale to były drobniaki.

Jak na razie, głównym przedsięwzięciem zespołu jest „Polar Music International AB”, którego udziały po połowie należa do Andersona i do czterech muzyków. Sołtka ciągnie zyski zarówno z krajowych i międzynarodowych przedsięwzięć takich jak sprzedaż płyt i licencje oraz organizowanie występów jak i z dużych udziałów w innych branżach, — nieruchomości leasing obroty papierami wartościowymi oraz z 37-procentowego udziału w szwedzkich zakładach rowerowych „Monark”. Ten ostatni udział okazał się strzałem w dziesiątkę. Kiedy Anderson w 1978 r. zaczął kupować akcje tej niemal niewyłagalnej firmy to ich kurs wynosił 20 koron. Obecnie doszedł do 200.

Również włączenie się do handlu nieruchomościami okazało się nad wyraz zyskowne. Anderson i Dahlin, były bankier sadza, że znają tajemnice powodzenia firm „ABBY”. „Mamy bardzo elastyczne kie-

rownictwo, szybko podejmujące decyzje”. „Spotykamy się wieczorem w moim biurze — mówi Anderson — i dyskutujemy dotąd aż dojdziemy do jakiegoś wspólnego wniosku. „Dahlin uzupełnia: „Preferujemy firmy kapitałochłonne, nie wymagające wiele personelu”.

Mimo oszałamiającego sukcesu — obroty w ciągu czterech lat zwiększyły się pięciokrotnie, osiagając poziom 500 mln koron — obaj szefowie firmy rozwijają dalsze plany. Dementują wprowadzenie pojawiające się wciąż w prasie pogłoski o rozpadzie kwartetu piosenkarskiego (Anderson: „Dlaczego miałbyśmy to zrobić?”), ale nie można nie zauważyć dążenia do uniezależnienia się od zysków „ABBY”. Nadal kupują nowe filie. Najmłodszym dzieckiem rodziny „ABBY” jest Kuben AB, w którym udziały grupy Polar wynoszą 60 procent. Kuben ma służyć jako holding dla średnich przedsiębiorstw, „celem normalnych firm, które potrzebują naszych pieniędzy” jak charakteryzuje Anderson swoja strategię.

Jednakże szuka się nie tylko wciąż nowych dzieł, ale i matki dla całego koncernu. Na początku br. Anderson zaproponował za pakiet akcji grupy „Ahlzell” — 400 mln koron, ale ofertę te odrzucono. Anderson ubolewa nad tym niepowodzeniem: „Mógłby to być holding dla wszystkich naszych interesów w Szwecji”.

Jednakże menażer (obecnie zajmuje się tylko interesami i nie pisze już szlagierów) nie przejmując się tym zbytnio: „Sprawy mogą się szybko zmienić, szukamy dalej — big is beautiful”. (RAP)

Jest taki dzień bardzo „ciepły, choć grudniowy”, w którym uprządkuje (wbrew życzeniom większości z nas) nie gasną wszelkie spory, lecz na kilka godzin zwalnia swe pospieszne tempo bieg naszego życia. Troski, zmartwienia i zgiełk codzienności ustępują miejsca chwilom radości, a co najmniej — spokoju i zadumy. W blasku choinkowych świateł zasiadamy w gronie najbliższych przy wigilijnym stole...

I od setek lat nieodłącznym elementem tego wieczoru są koledy. Wśród nocnej ciszy słowa powinszowań przepływają się z przepięknymi melodiami tych bożonarodzeniowych pieśni. Któż nie podda się wtedy ich urokowi? I wierzący i niewierzący, i ci dla których śpiewanie jest chlebem powszednim i ci którzy nuda nie częściej niż raz w roku. W koledach, bliskich zwłaszcza Polakom, którzy jak bodaj żaden inny naród mogą się poszczycić taką ich obfitością, jednoczą się myśli wszystkich rodaków. I tych w kraju, i tych — poza nim.

„Nie wiem czy inny kraj może się pochwalic zbiorom podobnym do tego, który po-

Coś Struny Słownie Tręca

Hej koleda, koleda

siada Polska. Trudno by znaleźć w jakiegokolwiek innej porzezi wrażenia tak czyste, o takiej słodyczy i takiej delikatności — napisał o naszych koledach sam Adam Mickiewicz. Słowa wieszczą wzięte oddają niepospolite piękno i wartości tych polskich pieśni. Skarbów poezji ludowej obrzucających zwyczaj i obrzędy sprzed stuleci.

Pierwsze polskie koledy powstały bowiem w piętnastym wieku. Około dwieście lat wcześniej śpiewy religijne o tematyce bożonarodzeniowej — popularyzowali w języku łacińskim — na Starym Kontynencie. Franciszkanie. Dwa stulecia później tworzyć zaczęto koledy w językach narodów europejskich. Wyrasła koleda zacerpnięta została z łaciny. Słowem calenda określali Rzymianie pierwszy dzień miesiąca. Specjalne zaś znaczenie miały „kalendy” styczniowe. Dla uczczenia od-

radzającego się po długich zimowych nocach słońca, towarzyszyły im: składanie darów i wymianianie życzeń. Słowianie początkowo nazywali koledą noworoczne upominki i zwyczaj (skultywowany do tej pory, zwłaszcza na wsiach) chodzenia „po koledzie” po domostwach i zagrodach z życzeniami, a niekiedy i z drobnymi prezentami; i oczywiście z pieśniami nazywanymi dziś koledami.

Przekazywane drogą ustnej tradycji uległy z biegiem lat — wzorem utworów ludowych — różnym przekształceniom tekstu i melodii. Zachowały wszakże swój polski charakter. Muzyka większości oparta jest na rodzimych rytmach tanecznych. Najwięcej tu polonezów: „Bóg się rodzi” (autor słów — Franciszek Karpiński — poeta doby Stanisławowskiej, kompozytor nieznanym; choć muzykę zaczerpnięto podobno z uroczystego

poloneza koronacyjnego królów polskich znanego już za Stefana Batorego), „W ślobie leży” (osiemnastowieczny utwór oparty pono o poloneza tańczonego na dworze Władysława IV), „Dzisiaj w Betlejem”, czy „Bracia patrzącie je-no”. W rytmie i charakterze kujawiaka pozostaje „Jezus malusienki”, a mazurka — osiemnastowieczne „Lulajże Jezuniu”. Te ostatnią wykorzystał zresztą Chopin, w Scherzu h-moll.

Zwazywszy tedy związki koled z muzyką taneczną, można chyba „rozgrzeszyć” tak zwane zespoły młodzieżowe, które przed niewielu laty włączały do swego repertuaru owe pieśni (niekiedy nawet z powodzeniem) no co czasem się zrymano. Jednak przyzna chyba każdy, że najpiękniej brzmią ich wielogłosowe interpretacje chóralne, a już w szczególności „Poznańskich słowików”, „Mazowsza” czy „Ślaska”.

Myślę wszakże, iż jeszcze więcej satysfakcji od słuchania tych wspaniałych wykonań daje własne zaintonowanie którejk z cudownych naszych koled przy domowej, ustrojonej choince.

WOJCIECH NENTWIG

„Jeszcze mi orłem będziesz!”



Coś do ręki



Dzisiaj, w świątecznym nastrój, dajemy wam do ręki dziewczynę jak skały.

Fot. (2) „Głos” — R. Królak

Dzień w którym ukazuje się nasz dodatek jest dniem niezwykłym. Może więc chociaż dzisiaj

POWIEDZ SZEFOWI

że to nieprawda, co o nim wygadawaliś po pisanemu

W STRONEKIN/ Pamiętać czy zapomnieć?

Po „Sprawie Kramerów” mamy rzecz o podobnej tematyce zatytułowana „Pamiętać czy zapomnieć” pochodząca z wytwórni w Rydze. Film ten być może prześcignie nawet amerykański szlager jeśli idzie o ilość wycisniętych łez. Znowu rzecz bowiem traktuje o dziecku i rodzicach, młotających się wokół perypetii tego dziecka.

Czy jest rzeczą do pomyślenia, aby matka zrezygnowała z własnego dziecka, przyhołubiając w jego miejsce cudze? Czy może ojciec dopatrzeć się w dziecku podobieństwa do siebie, żony, babci, dziadka, a nawet różnych ciotek czy wujków, choć dziecko jest rybe, a nigdy w rodzinie nie było niktogo rybiego, my zaś wiemy, że w ogóle jest to dziecko nie własne, lecz przybrane. Tak, wszystko to jest możliwe.

Film traktuje o udanym małżeństwie nieporównywalnie już młodości, bezdzietnym, w którym pojawia się spóźnione pragnienie dziecka. Szczególnie mocno pragnie go mężczyzna, ale i jego żona chciałaby spełnić to oczekiwanie gorąco widząc w tym element który jeszcze bardziej zespoliłby to udane małżeństwo. I oto pragnienie się spełnia, czterdziestoletnia kobieta ma urodzić swoje pierwsze dziecko.

Niestety, pojawia się choroba nerek. Poród jest prawie niemożliwy. Kobieta jednak nie godzi się na przerwanie ciąży, stawia najwyższą stawkę — swoje życie i dziecka. Po udanym jednak porodzie dziecko musi być poddane natychmiastowej poważnej operacji, podczas której następuje śmierć kliniczna i matka zostaje przez pomyłkę powiadomiona o niej jako o śmierci właściwej. Ojciec zaś wie już o szczęśliwym rozwiązaniu. Jest bardzo szczęśliwy. Kiedy więc na tejże sali rodzi chłopca, młoda kobieta która dziecko mieć nie chce i od razu się go rzeka, nasza czterdziestolatka nie ma wątpliwości — ona tego chłopczyka adoptuje. I oto po paru dniach wychodzi z kliniki nie ze swoim chłopczykiem.

Tak zawiązuje się dramat. Albowiem po kilku tygodniach kobieta zostaje z kliniki ponaglona do odbioru swojego synka. Ten bowiem został uratowany i co teraz? Powstaje więc same dylematy. Może wychowywać dwóch chłopców? Ale mąż któremu bohaterka filmu próbuje zasugerować ewentualną adopcję drugiego chłopca odrzuca taką propozycję z oburzeniem: miałbym niańczyć cudze dziecko gdy mam własne? Po co? Tymczasem czas płynie i oto

matka, zdesperowana, nie chcąc burzyć domowej harmonii i szczęścia... rzeka się własnego dziecka! Wówczas jedna z pielęgniarek, kobieta samotna, postanawia zaadoptować dzieciaka.

Dochodzi do nieumilkniętego dramatu bo wreszcie i ma bohaterki dowiaduje się przy padkiem o całej historii. Małżeństwo jest teraz zgodne w tym żeby odzyskać własnego synka, ale i w tym że za trzymają też adoptowanego. Ale teraz na przyszłość staje się dobro innych ludzi: uczucia owej pielęgniarki i chłopca który ją traktuje jak matkę. Tamci są też szczęśliwi zachwyceni sobą, rodzice pielęgniarki są dla chłopca najlepszymi dziadkami. Które uczucia mają teraz ustąpić? Które dobro stało się ważniejsze? Co należy bardziej chronić? Kto w końcu powinien ponieść odpowiedzialność za sytuację?

Niestety, nie ma tu dobrych rozwiązań. I film też żadnego nie proponuje, sugerując w końcu, że pozostał wszystkim osobom dramatycznie żyć dalej w sytuacji, którą stworzyli, albowiem każda zmiana byłaby zbyt kosztowna. Gorzka to prawda, lecz trudno z nią się nie zgodzić.

MIECZYSLAW SKAPSKI

Jak spojrzeć Chince prosto w oczy

Jak informuje prasa chińska, w tej szeroko obecnie w środowiskach uniwersyteckich dyskutowanej sprawie, jedna z uczelni w prowincji Guangdong przeprowadziła ostatnio badania, których konkluzja sugeruje, iż należy zakazać wszelkich flirtów między młodzieżą akademicką.

Badania te ujawniły bowiem, że spośród 18 studentów (i studentek) z jednego tylko wydziału chodzących na randki, aż 16 osiąga gorsze wyniki w nauce, niż dawniej, kiedy nie traciło czasu na takie sprawy. Autorzy sporządzonego w oparciu o te badania raportu stwierdzają, że zalecani pochłaniają czas i odwracają uwagę od zajęć. Ponadto, większość chodzących na randki wykazuje ideologiczną niedojrzałość, w wyniku czego, zalecanki te przynoszą im więcej kłopotów, niż radości.

Jak jednak wynika z artykułu, opublikowanego przez wydawaną w języku angielskim dziennik „China Daily” nie wszyscy zgadzają się z tą konkluzją. Autor, podpisujący się Gu Chen-gwen pisze, że zdaniem tych ludzi, flirt studentki są rzeczą naturalną i naturalną potrzebą natury ludzkiej, zwłaszcza dziś, gdy młodzież szybko, niż dawniej dojrzewa. Zakaz lub też zbyt surowa krytyka takich kontaktów, mogłaby doprowadzić do tego, że czynności te uprawiane byłyby w tajemnicy i to nawet w „dekadencki sposób”. (Słowo „dekadencki” oznacza tu zapewne zbliżenie

picie, a więc coś dużo gorszego, niż zwykła randka). Ludzie ci uważają, iż można pogodzić studia z przygotowaniami do małżeństwa.

Autor stwierdza, że przynajmniej dla którejś obecnie rozpętanej na ten temat dyskusji, jest fakt, że po przyjęciu na studia, młodzież uważa, że ma już zagwarantowaną przyszłość i może przejawiać w życiu osobistym i w nauce, lekkomyślność. Tego rodzaju nastroje, umacniane są jeszcze w wyniku braku troski władz uczelniowych o szkolenie ideologiczne i polityczne, w wielu uczelniach traktowane jako rzecz ulgową. Podczas więc, gdy niektórzy studenci nawiązują bliższe kontakty w celach wzajemnego zachęcenia się do lepszych wyników w nauce i chęci wzajemnego pomagania sobie, dzielenia się uczuciami i darzenia się szczęściem, to są tacy, którzy myślą tylko o założeniu w przyszłości wygodnego gniazda rodzinnego i kierują się egoizmem. Prowadzi to do tego, iż młodzi absolwentów uczelni odmawia przydzielonej przez państwo pracy lub usiłuje zmienić przyjęte uprzednio skierowanie.

Autor pisze, że nie można wprawdzie zakazywać flirtów wśród młodzieży akademickiej, bo byłoby to nierozsądne, ale nie można też ignorować problemów, jakie w związku z tym powstają. „Kraj nasz jest ubogi i nasz naród, zwłaszcza zaś młodzi ludzie, winni wnieść swój wkład na rzecz czynny”. (PAP)

LUDWIK MYSK

BARAN

Baran ma kompleksy na tle swego przezwiaka, ale nielustuznia. Przecież świnia ma większe powody do rozpacz. Nadchodzący rok będzie dla baranów pomyślny, jeżeli pójmą, że nie można żyć jak w Ameryce, a pracować jak w buszu. Gdy baran padnie, najbardziej cieszy się gastronomia.

Najfortunniesze dla Barana są: kolor — złote runo, kwiat — paproci, kamień — poza nerka, dzień — pasterka.

BYK

Byka, jak wiadomo, drażni wszystko co czerwone. „Lecz cały sens przy walce byków polega na sztuce uników”. Bykowi wydaje się że wszystko uciągnie sam, że wszystko sam przeznacnie. Niestety byk nie wyciąga wniosków z rodzinnej przeszłości. Niejeden jego przodek padł na arenie. I nikt go nie żałował.

Najfortunniesze dla Byka są: kolor — cztery piki, kwiat — do wachania, kamień — u szyi, dzień — Wigilia, kiedy to nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem.

BLIŹNIĘTA

Bliznięta żyją w braterstwie, którego nie wybrały, bo los im je zastał. Od czasu do czasu między bliźniętami dochodzi do

spieć, ale historia poucza, że zawsze wygrywa silniejszy z braci. Nadchodzący rok będzie dla bliźniąt pomyślny, jeśli zrozumieją, że racja ma rację, ale siła — siła.

Najfortunniesze dla Blizniąt są: kolor — nadziei, kwiat —

Super extra horoskop świąteczno-noworoczny

Na dwoje babka wróżyła

w butonierce, kamień łagodny, dzień — opamiętania.

RAK

Rak potrafi się wycofać, bo ma w tym niejoką wprawę. Szczępcie, którymi kłapie się tylko na postrach. Raka boją się jedynie dzieci, którym wprawia się co dnia, że jak uszczypnie rak to będzie znok.

Najfortunniesze dla Raka są: kolor — przychodni onkologicznej, kwiat — od rodziny, kamień — żółciowy, dzień — po operacji.

LEW

Lew ryczy, bo wydaje mu się, że jest królem puszczy. Dla

świętej zgody i porozumienia ludzie udają, że tak jest dobrze. Ale gdy lew przesadzi z tym ryczeniem, rozlega się gniew poddanych i wtedy lew cieniutko piszczy. Szczególnie dlań niebezpieczne są motle kwiatka skupione wokół niego. Potrafią strą-

cić mu królewską koronę i jeszcze wytragać za grzywę.

Najfortunniesze dla Lwa są: kolor — stonowany, kwiat — rozminowany, kamień — marmur, dzień — w którym jeszcze rządzi.

PANNA

Panny pracują wzięcznie i rozkosznie, szczególnie gdy się udaje że są dla nas pierwszymi. Panny lubią pozycję naturalną i robią wszystko prócz rannej herbaty, bo nie znoszą, gdy traktuje się je przedmiotowo.

Najfortunniesze dla Pannie: kolor — przyćmionej lampy, kwiat — sadzenia pelargonia, kamień — spadający z słońca, dzień — zaręczyn.

WAGA

Waga niczego sobie nie waży lekce, lecz inni traktują ją jako bojaźń. Waga jest ważna, boć wszystko co najważniejsze dopiero się waży. Waga często się waha — ale taka jest funk-

cja wagi. W którąkolwiek stronę szale się przechyla, to i tak musi wrócić do stanu równowagi.

Najfortunniesze dla Wagi: kolor — fabrycznie nowy, kwiat — bez lodygi, kamień — lekki, dzień — rozwagi.

SKORPION

Skorpion ma w sobie dużo jadu, którego z czasem się wyzbędzie. Gromadzi go latami, ale nadchodzi pora, by jad ten przerobić na szczeniaka. Może ono w przyszłości uchroni innych przed nadmiarem jadu i nienawistci.

Najfortunniesze dla Skorpiona są: kolor — żółci, kwiat — na grobie, kamień — u wężgłowa, dzień — spoczynku.

STRZELEC

Najlepiej byłoby, gdyby strzelec strzelał jedynie słodko zatrutymi strzałami Amora. Jest to prawdopodobne, gdy wymieni polewice na cukier. Pamiętać trzeba wszakże, że nadmiar

stodczy potrafi zemścić.

Najfortunniesze dla Strzelców są: kolor — khaki, kwiat — szorotka olejjska, kamień — z pracy, dzień, w którym strzelonego Pan Bóg strzeże.

KOZIOROŻEC

Koziorożec przekonał się nie raz, że wyżej ogona nie podskoczy. Przyprawianie rogów koziorożcom jest przesadne, wszak dosyć mają kłopotów z własnymi. Koziorożec tryka jedynie wtedy, gdy czuje się zagrożony. Ludzie spod tego znaku zdolni są do wszystkiego.

Najfortunniesze dla Koziorożców są: kolor — szary, kwiat — słarczyk, kamień — górski, dzień — w którym nóżki nie złamie.

WODNIK

Ludzie spod tego znaku należą do najłagodniejszych z godnością i pokorą przyjmujących swe przeznaczenie. Wodniki są bliskie ideału, jeśli ich wodniczość, nie przekształci się w anemię. Wmawianie, że tylko wodniki leją wodę, jest dla nich niesprawiedliwe.

Najfortunniesze dla Wodników są: kolor — czysty, kamień — źródłany, kwiat — liłjka, dzień — bezdeszczowy.

RYBY

Ryba, jak się mniema, uchyla od głowy o skrobie się ją od ogona. Ryba wie dobrze, że ciężko płynąć pod prąd. Nie traci więc czasu na odwracanie biegu rzeki. Niektóre ryby najlepiej czują się w mętnej wodzie. Każda wszakże ryba ma swego szczupaka. Ryby wiedzą, że nawet rekin jest tylko rybą.

Najfortunniesze dla Ryb są: kolor — mętny, kwiat — w wazonie, kamień — na dnie, dzień — w którym wypłynęła ryba.

*

Nadchodzący rok będzie dla wszystkich lepszy niż ten, który odchodzi. Co innego trudno sobie wyobrazić i żaden horoskop na to nie pomoże.

ANDRZEJ SKRZYPCZAK